



Andrzej Nowak

Europa Wschodnia – polskie pytania o Europę i jej Wschód

(po 10 kwietnia 2010 roku)

Tekst rozwijający tezy wystąpienia z konferencji Ośrodka Myśli Politycznej *Wyzwania geopolityczne we współczesnych stosunkach międzynarodowych a polskie interesy* (Kraków, czerwiec 2010)

„Miejsce Europy Wschodniej w polityce zagranicznej Unii Europejskiej – polska perspektywa” – tak brzmi tytuł dyskusji, do której zostałem tutaj zaproszony. Tytuł rzeczywiście prowokuje do dyskusji. Można bowiem zasadnie zapytać, czy którekolwiek z wymienionych w nim pojęć ma dziś jakikolwiek odpowiednik w rzeczywistości.

Czy istnieje dziś Europa Wschodnia? Jaki byłby dla niej ewentualnie wspólny mianownik? Powrót dominacji rosyjskiej? To pierwszy krąg pytań, jakie można postawić.

Drugi wiąże się z problemem realności tego, co w tytule panelu nazwane zostało „polityką zagraniczną Unii Europejskiej”. Czy pojawienie się lady Ashton na horyzoncie Brukseli i oddanie do jej dyspozycji armii kilkunastu tysięcy urzędników? Czy można nazwać ją Kissingerem Unii Europejskiej? Czy premier Putin, albo prezydent Obama, chcąc rozwiązać jakiś problem w relacjach z Europą sięga po telefon do Hermanna Achillesa Van Rompuy’a? Ten akurat krąg pytań ma – przynajmniej dla mnie – charakter retoryczny i nie zamierzam go tutaj zgłębiać.

Trzeci obszar wątpliwości odsłania się w założeniu istnienia jednej „polskiej perspektywy” na Europę Wschodnią. Są różne.

Zastanawiając się nad różnicami w polskich spojrzeniach na Europę Wschodnią, musimy wyjść od wydarzeń, które z niezwykłą mocą uwypukliły owe różnice i zarazem postawiły na nowo z całą ostrością kwestię pojmowania (a może – obejmowania) tego regionu.

Można by najważniejsze z owych zdarzeń połączyć w ciągu czterech dni tego roku:

7 kwietnia premier Władimir Putin przyjmuje w Katyniu premiera Donalda Tuska. Padają słowa o polsko-rosyjskim pojednaniu. Na konferencji prasowej po spotkaniu, premier Putin wyraźnie daje zrozumienia, że są w Polsce także ludzie, którzy takiego porozumienia nie chcą i czyniąc aluzje do nieobecnego w tym dniu prezydenta Kaczyńskiego określa go jako „nieczystopłotnego politkana” (co w uproszczonym, nie wyrażającym bogactwa niuansów rosyjskiego języka tłumaczeniu należałoby oddać jako: „brudnego politykiera”).

8 kwietnia prezydenci Barack Obama i Dimitrij Miedwiediew podpisują w Pradze nowy układ o kontroli broni strategicznych. Układ nie wymaga w istocie poważniejszej redukcji arsenału raketowego przez obie strony, ma jednak duże znaczenie propagandowe. Federacja Rosyjska traktowana jest przez prezydenta USA ponownie jako drugie (przynajmniej w wymiarze militarnym) supermocarstwo. Obama, który zrezygnował wcześniej z niepokojących Moskwę planów rozmieszczenia systemu antyraketowego w Polsce i Czechach, unika jakichkolwiek nawiązań do

stanu przestrzegania praw człowieka czy wolności mediów w Rosji, nazywa za to Miedwiediewa „przyjacielem i partnerem”. Rosyjski prezydent rewanżuje mu się zapewnieniem, iż czuje, że nawiązała się między nimi doskonała „osobista chemia”. Czeski tygodnik „Reflex” publikuje zdjęcie Obamy całującego Breżniewa, ostrzegając przed „niebezpiecznymi pocałunkami z Moskwą”. Były minister obrony Republiki Czeskiej Lubos Dobrovsky porównuje spotkanie w Pradze do polityki *appeasementu*, która tak boleśnie dotknęła Czechosłowację 72 lata wcześniej. Prezydent Obama znajduje jednak sposobność do gestu, która ma usunąć obawy całej Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie tłą się jeszcze wspomnienia podobne do tych, jakie nasunęły się czeskim publicystom i politykom. Amerykański prezydent załatwia sprawę hurtowo. Po spotkaniu z przyjacielem z Moskwy, w tym samym dniu, 8 kwietnia, przyjmuje na obiedzie 11 przywódców regionu. Przy zatłoczonym stole jest też krzesło dla premiera Donalda Tuska. Menu spotkania jest następujące: ryba, eskalopki, wino kalifornijskie.¹

9 kwietnia prezydent Dimitrij Miedwiediew uroczyście, w obecności m.in. komisarza UE do spraw energii Guenthera Oettingera oraz byłego kanclerza RFN, Gerharda Schroedera, otwiera budowę gazociągu Nord Stream w obwodzie leningradzkim.² Ruszył w ten sposób – już nie odwołalnie – projekt, który jeszcze nie tak dawno (w czasie swojej kariery w rządzie PiS) minister Radosław Sikorski określił z wyraźną przesadą jako nowy pakt Ribbentrop-Mołotow. Rura biegnąca po dnie Morza Bałtyckiego jest wielkim ramieniem opasującym od północy Europę w partnerskim uścisku głównego jej gazowego dostawcy: Gazpromu. Będzie nią płynęło 55 miliardów metrów sześciennych gazu rocznie. Od nie rozstrzygniętego jeszcze detalu konstrukcji rury zależeć będzie, czy budowany równolegle port do przeładunku gazu ciekłego koło Świnoujścia, mający stworzyć furtkę energetycznego zabezpieczenia dla Polski przed naciskiem rosyjskiego monopolisty, nie okaże się całkowicie bezużyteczny. Położona odpowiednio płytko na wodach terytorialnych Niemiec koło Świnoujścia, rura Gazpromu może po prostu uniemożliwić wpływanie wielkich statków z gazem do Polski z Nigerii czy Kataru. To już teraz zależeć będzie wyłącznie od dobrej woli Rosji i Niemiec. W Polsce nie ma jednak już żadnych wątpliwości co do dobrej woli rosyjskich władz. Budowa gazociągu północnego, która była przez kilka lat jednym z najważniejszych tematów krytyki ze strony polskich czynników oficjalnych, w decydującym momencie – swego symbolicznego otwarcia – nie budzi już żadnej reakcji. Media i rząd żyją polsko-rosyjskim pojednaniem.

10 kwietnia – Smoleńsk. Przydzielony przez kancelarię premiera samolot rządowy z prezydentem Lechem Kaczyńskim oraz ponad 90-osobową delegacją przedstawicieli elit politycznych, społecznych i historycznych Polski na pokładzie nie dolatuje na uroczystości 70-lecia zbrodni katyńskiej. Wieczorem dolatują premierzy Putin i Tusk. Śledztwo w sprawie tego, co się stało z urzędującym, demokratycznie wybranym prezydentem RP, ostatnim prezydentem RP na uchodźstwie, kilkunastoma parlamentarzystami, ministrami, generałami, biskupami – polski premier oddaje całkowicie w ręce Prokuratury Generalnej Federacji Rosyjskiej. Od 2006 roku kieruje nią Jurij Czajka. Nadzorował m.in. śledztwa w sprawie morderstwa Aleksandra Litwinienki, morderstwa Anny Politkowskiej, wznowił postępowanie prokuratorskie przeciwko Michaiłowi Chodorkowskiemu. Prokuraturze rosyjskiej pod nadzorem Czajki udało się w pionierski sposób powiązać przynajmniej dwa spośród tych śledztw: Jurij Czajka stwierdził, że za śmierć Litwinienki (otrutego polonem w Londynie) – odpowiada Chodorkowski (zajmujący się w tym czasie szyciem spodni w obozie pracy przy granicy z Mongolią) oraz jego współpracownicy. Nikt w cywilizowanym świecie nie ma wątpliwości, że wszystkie te, i setki innych, politycznych śledztw są prowadzone w sposób urągający wszelkim zasadom praworządności. Piszą o tym najpoważniejsze gazety niemieckie, francuskie, brytyjskie, amerykańskie. Pisały też do niedawna polskie. Teraz już nie piszą.

To były cztery ważne dni. Ale oczywiście nie jedyne w kalendarium zmian w sytuacji geopolitycznej naszego regionu. Te cztery akurat zeszyły się razem, w symbolicznym zagęszczeniu. Co to jednak za symbol? Czego symbol? Nad tym warto się może zastanowić.

¹ *Russia and U.S. Sign Nuclear Arms reduction Pact*, „New York Times”, 9 IV 2010.

² *Medvedev Delivers Putin's Brainchild*, „The Moscow Times”, 10 IV 2010.

Może to po prostu symbol wielkiego zwycięstwa polityki Władimira Putina? Doktor Putin (doktorat napisał z dziedziny gazownictwa, a konkretnie poświęcił swą obronioną w petersburskim Państwowym Instytucie Górnictwa rozprawę możliwości wykorzystania eksportu gazu dla promocji interesów państwowych Federacji Rosyjskiej) zbiera żniwo swojej konsekwentnie prowadzonej od dziesięciu lat polityki. To dopiero początek tych żniw. Ruszył Nordstream. Dopełni go wkrótce drugie wielkie ramię gazowego uścisku Europy. Tworzy je zainicjowany w 2007 roku projekt Southstream: gazociągu eksportującego surowiec z Rosji (i uzależnionych od niej złóż z byłych sowieckich „stanów” z Azji Środkowej) przez Morze Czarne – do Bułgarii, Grecji, Serbii, Węgier, Słowenii, Austrii i Włoch. Właśnie Włochy, a konkretnie firmy premiera Silvio Berlusconi są w przypadku Southstream głównym europejskim partnerem gazowej strategii Putina, tak jak w przypadku Nordstream są nim Niemcy (Gazprom miał nawet tę samą co w przypadku Gazociągu Północnego fantazję, by jednym z formalnych dyrektorów projektu uczynić zachodnioeuropejskiego premiera, w tym przypadku Romano Prodiego. Ten jednak, inaczej niż Gerhard Schroeder, odmówił. Może nie chciał firmować finansowych operacji swojego politycznego konkurenta – Berlusconi?³). Ostatnim brakującym ogniwiem w tej konstrukcji była Chorwacja. I tu jednak dokonał się przełom, zaledwie 5 tygodni przed Smoleńskiem. 2 marca 2010 roku, minister energii Federacji Rosyjskiej, Siergiej Szmato, podpisał ze swoim chorwackim partnerem stosowną umowę. Premier Putin był przy tym szczęśliwym wydarzeniu osobiście obecny.⁴ To nie był jednak koniec sukcesów. 19 czerwca francuski gigant przemysłowy, Électricité de France ogłosił przystąpienie do Southstream – obejmie nie mniej niż 10 procent udziałów całego przedsięwzięcia.

Southstream ma zacząć tłoczyć gaz (maksimum jego możliwości to 63 miliardy metrów sześciennych rocznie) do południowej Europy nie później niż w 2015 roku. Nordstream będzie wtedy już od trzech lat działał pełną parą. Dwa wielkie ramiona coś obejmują. Co? Europę? Na pewno objęły już bardzo poważnych partnerów w mocarstwach „starej” Europy: w Niemczech, we Włoszech, we Francji. Na pewno przytuliły całą niemal Europę południową. Coś jednak jakby omijały? Polskę, Ukrainę, Litwę. Akurat w minionym dziesięcioleciu ten region nie pasował do układanki Władimira Putina. Zwłaszcza od 2004 roku, kiedy przez Ukrainę przetoczyła się „pomarańczowa rewolucja”, wsparta otwarcie przez Polskę (od Kwaśniewskiego do Kaczyńskiego), kiedy w kolejnych latach zaczęły wybuchać coroczne „kryzysy gazowe” w stosunkach rosyjsko-ukraińskich, kiedy Polska, już pod rządami braci Kaczyńskich, zainicjowała projekt zorganizowania alternatywnej sieci zaopatrzenia regionu w surowce energetyczne przez współpracę Polski, Litwy i Ukrainy z Azerbejdżanem, Gruzją, a także Kazachstanem i ewentualnie Turkmenistanem.

To się jednak zaczęło zmieniać. Od chwili, kiedy władzę w Polsce objęła Platforma Obywatelska. Warto przypomnieć o manifestacyjnej wizycie premiera Tuska w Moskwie, zaraz na progu 2008 roku. Niektórzy komentatorzy zwracali wówczas uwagę na fakt, iż nikt z szanujących się polityków zachodnich nie odwiedzał w tym momencie Rosji – ze względu na trwające w niej wybory prezydenckie. Wizyta polskiego premiera, po okresie wyraźnego konfliktu polityczno-gospodarczego na linii Moskwa-Warszawa, mogła być w tych wyborach jednoznacznie wykorzystana jako dowód na skuteczność nieustępliwej polityki prezydenta Putina, który w duchu takiej nieustępliwości namaszczał swojego następcę, Dimitrija Miedwiediewa. Mało kto zwrócił jednak uwagę na inny aspekt tamtej wizyty – związany z relacjami w trójkącie Warszawa-Moskwa-Kijów. Nowy minister spraw zagranicznych, Radosław Sikorski przyleciał wówczas do Moskwy, by przygotować wizytę swojego zwierzchnika – i stało się to (tak jakoś to wyszło rosyjskiej dyplomacji) w przeddzień zaplanowanych w Moskwie rozmów przywódców Rosji z premier Ukrainy, Julią Tymoszenko, której Gazprom przystawiał wówczas pistolet gazowy do głowy. Spotkanie rosyjsko-polskie, w przeddzień tych krytycznych negocjacji, było wyjątkowo czytelnym sygnałem dla Kijowa: Warszawa wybiera Moskwę. Kolejnych sygnałów świadomego dystansowania się nowego polskiego rządu od współpracy z Ukrainą, trudnej, ale wciąż strategicznie ważnej, było z każdym miesiącem coraz więcej. Do rangi symbolu urosnąć mogły miny i słowa ministra sportu, Mirosława Drzewieckiego, które sugerowały, że

³ Zob. Judy Dempsey, *Gazprom courts Prodi as pipeline chief*, „International Herald Tribune”, 28 IV 2008.

⁴ Zob. Anatoly Medetsky, *Croatia Agrees to Join South Stream*, „The Moscow Times”, 2 III 2010.

Polska jest gotowa zorganizować bez Ukrainy (!) mistrzostwa Europy w futbolu – imprezę najważniejszą nie tylko sportowo, ale (jak się jeszcze do kwietnia 2010 roku zdawało) przede wszystkim strategicznie dla stosunków we wschodniej części naszego kontynentu... Swoistym podsumowaniem tej tendencji było potraktowanie Ukrainy (ale również państw bałtyckich) na sztandarowych dla polityki PO uroczystościach 1 września 2009 roku na Westerplatte. Jedynym dostrzeganym przez gospodarzy gościem ze wschodu pozostał premier Putin. Premier Tymoszenko zdołała tę uwagę zwrócić na siebie i na Ukrainę wtedy dopiero, kiedy oświadczyła, że nie spotka się z Donaldem Tuskiem, bo musi pilnie udać się do ... Libii. Reakcja była adekwatna do miejsca, jakie Ukraina zajęła w polityce polskiego rządu.

Polityka ocieplenia na linii Warszawa-Moskwa, nazywana nawet przez niektórych „historycznym przełomem”, zbiegła się w czasie z istotnie przełomowym zwrotem w polityce Ukrainy, po prezydenckich wyborach, wygranych przez Wiktora Janukowycza. Rozluźniające się od 2008 roku stosunki ukraińsko-polskie straciły ostatecznie na znaczeniu. Ukraina Janukowycza, w ślad za Polską Tuska, otworzyła się na Rosję Putina. Jak nigdy przedtem w całej dwudziestoletniej historii swej niepodległości. I pod tym względem kwiecień 2010 roku przyniósł kartkę w kalendarzu, która zostanie w historii Europy Wschodniej na długo: 21 kwietnia w Charkowie prezydenci Miedwiediew i Janukowycz podpisali umowę przedłużającą dzierżawę portu w Sewastopolu dla rosyjskiej floty wojennej do 2042 roku. Dwa miesiące później Sewastopol odwiedził premier Putin. Przyjechał na trójkołowym Harley’u na zjazd rosyjskich i ukraińskich fanów tej marki. Piękny przykład postpolityki. Przy okazji jednak porozmawiał z prezydentem Janukowyczem, podobno na temat możliwości wydzierżawienia kolejnych baz dla rosyjskiej floty na ukraińskim wybrzeżu. Może Odessa wróci do swych budowniczych? I to w pełnej zgodzie z Kijowem?

Po zmianie na stanowisku prezydenta na Litwie, Rosja nie wydaje się mieć problemów także na tym odcinku. Nie rozwiązana jeszcze pozostaje tylko sprawa kontroli nad Mińskiem. Moskiewskie naciski na lokalnego satrapę stają się jednak coraz mocniejsze. Kto by go teraz bronił? Ale też: kto chciałby bronić istotnej niezależności Białorusi od Moskwy?

Polska, Litwa, Białoruś, Ukraina – cały ten wielki region stanowi pewną historyczną i geopolityczną konstrukcję: od czasu unii w Krewie przynajmniej. Bez aktywnej polskiej polityki wschodniej – takiej, jakiej dziedzictwo tworzył Piłsudski, myśl polityczna kręgu paryskiej „Kultury”, elementy działania wielu rządów III RP (aż do rządu Jarosława Kaczyńskiego) – owa konstrukcja musi się rozpaść. I rozpadła się?

Przynajmniej tak się wydaje. Trwała, w rozmaitych historycznych warunkach, ponad dwadzieścia pokoleń. Czy jedno pokolenie – generacja Tuska, Sikorskiego, Janukowycza i Łukaszenki – jest w stanie przekreślić wysiłek i marzenia dziewiętnastu poprzednich? Sens tej konstrukcji po 1989 roku przekonująco przedstawiali nie tylko Jerzy Giedroyc i Lech Kaczyński, ale także – w perspektywie historii Rzeczypospolitej – Jerzy Kłoczowski, Bohdan Cywiński, czy Jan Kieniewicz. Ten ostatni postawił sprawę najjaśniej: „Albo jako naród wesprzemy procesy narodowe i europejskość na wschodzie, albo Rosja wprowadzi tam swoją wersję relacji międzyludzkich”.⁵

Oskrzydlona imponującym manewrem geopolitycznym Gazpromu dziedzina dawnej Rzeczypospolitej stała się w 2010 roku obszarem, na którym zatriumfował „realizm”. I może to właśnie było jednym z celów wielkiego manewru doktora Putina? „Realizm” bowiem, jaki wybierają politycy dziś rządzący w Polsce czy na Ukrainie polega na uznaniu dominującej roli Rosji na obszarze całej Europy Wschodniej. Partnerzy Kremla pozyskani przez wytrwałą politykę Gazpromu w Berlinie, Rzymie czy Paryżu oczywiście podzielają ten pogląd. Mogą to robić z całym spokojem, gdyż dla nich pojęcie Europy Wschodniej jest mniej lub bardziej odległą egzotyką. Politycy w Warszawie przekonują społeczeństwo, że Polski na tym obszarze także nie ma i nie powinno być – jest bowiem w Unii Europejskiej. Szkodliwe może być tylko zbytne angażowanie Polski w „awantury” na wschodzie – czyli w każdą formę polityki, która może narazić nas na nie zrozumiały w Brukseli (a raczej w Paryżu, Berlinie czy Rzymie) konflikt z Moskwą.

⁵ Jan Kieniewicz, *Czy Europa Wschodnia jest możliwa?*, „Arcana”, 29 (5/1999), s. 63.

Prawdziwy gwóźdź do trumny z koncepcją polityki wschodniej symbolizowaną przez Jerzego Giedroycia wbił w uroczystym geście minister Radosław Sikorski. Uczynił to w specjalnym tekście opublikowanym na łamach „Gazety Wyborczej” (29 sierpnia 2009) na przywitanie z dawnym wyglądanym gościem ze wschodu: Władimira Putina. Sedno tego manifestu wyraża fragment, w którym minister Sikorski stwierdził, iż „właściwej odpowiedzi na dylematy geostrategiczne i tożsamościowe Polski nie oferują jagiellońskie ambicje mocarstwowe”. W tekście, w którym nie było najmniejszej wzmianki o Litwie, Ukrainie czy Białorusi, jako jedynym wschodnim sąsiadem Polski – naturalnym partnerem jej polityki wschodniej – wymieniona została Federacja Rosyjska. Jedyną aluzją do aktywnej polityki polskiej wobec nie wymienionych z nazwy krajów pozostała bezlitosna krytyka marzeń o „statusie ‘jagiellońskiego’ mocarstwa regionalnego”, którym przeciwstawione zostały jako dwa realne filary polskiego bezpieczeństwa: „integracja europejska i euroatlantycka” oraz „proces modernizacji naszego kraju, ukierunkowany na zbudowanie nowoczesnego i demokratycznego państwa narodowego”.⁶

Oczywiście, można powiedzieć, to po prostu trzeźwa ocena sytuacji. Chyba jednak nie tylko. Jest to raczej specyficzna konstrukcja retoryczna, w której jako „chłopiec do bicia” ustawiona zostaje właśnie cała tradycja aktywnej polskiej polityki wschodniej, opartej na założeniu priorytetowego znaczenia niepodległości Ukrainy, a także Białorusi i Litwy, dla bezpieczeństwa Polski i budowania jej normalnych (to znaczy równoprawnych) stosunków z Rosją. Zredukowanie tej polityki do anachronicznych mrzonek o „państwowości jagiellońskiej” i przeciwstawienie jej zasadzie zakotwiczenia Polski w strukturach europejskich i atlantyckich pozwala łatwo odesłać ją na śmietnik historii.

Minister Sikorski chce – i wyraża w tym chyba dobrze nastawienie całego rządu – byśmy odwrócili się wreszcie od „negatywnych doświadczeń naszej historii” (koncepcję tę rozwinął po raz pierwszy w ambitnym projekcie reformy polskiego patriotyzmu, przedstawionym na łamach „International Herald Tribune” w 2008 roku: to wielki manifest „patriotyzmu antyofiarnego”).⁷ Należy do owych doświadczeń powtarzająca się sytuacja, w której Polska inaczej niż politycy mocarstw zachodnich oceniała intencje i praktyczne skutki polityki Imperium Rosyjskiego (a potem ZSRR – jego geopolitycznego spadkobiercy). Można to doświadczenie przezwyciężyć, jeśli zaczniemy mówić tym samym językiem politycznym, co nasi wielcy partnerzy w Unii Europejskiej.

Jaką wizję przyszłości można wyrazić w owym języku? W interesujących rozważaniach scenariuszy rozwoju sytuacji geopolitycznej w naszym regionie w najbliższych dwóch dekadach, pewien uczeń Immanuela Wallersteina, jako wariant najbardziej prawdopodobny wskazał strategiczne porozumienie Europy z Rosją. Pięknie, tylko że – jak pisze – proces ten może najbardziej przypominać „rozbiory Polski w XVIII wieku przez wczesnonowożytne imperia”.⁸ Czy linia tej zgody będzie wytyczona – jak w Tyłży w 1807, a może jak w Jałcie w 1945?

Tak, to jest perspektywa, w której można mówić o „polityce zagranicznej Unii Europejskiej” – w takim jednak tylko sensie, w jakim tworzyć ową Unię będą tradycyjne w Europie mocarstw ośrodki siły: Berlin, Paryż, Rzym. Ośrodki „karolińskiego rdzenia” Europy. Władimir Putin zyskał istotne narzędzie wpływu na te ośrodki – między innymi (a może raczej przede wszystkim) dzięki swej strategii gazowej. Powtórzmy: ich punkt widzenia na Europę Wschodnią może być istotnie odmienny od tego, który umiejscowiony jest nad Wisłą, a raczej między Bugiem a Odrą.

W najważniejszych stolicach państw „starej”, kontynentalnej Unii – przeważa skłonność do nawiązania strategicznej współpracy z Rosją i gotowość do przymykania oczu na stan praw i wartości u tak cennego partnera – tych praw i wartości, które podobno miały jakieś znaczenie dla europejskiej

⁶ Radosław Sikorski, *Lekcje historii, modernizacja i integracja*, „Gazeta Wyborcza”, 29-30 VIII 2009; por. polemikę z tym stanowiskiem: Mirosław Czech, *Duch Jagiellonów nie błądzi po Polsce*, „Gazeta Wyborcza”, 6 IX 2009

⁷ Zob. [R. Sikorski, w:] *Working to redefine patriotism in Poland*, „International Herald Tribune”, 24 VIII 2008.

⁸ Norihisa Yamashita, *Empire or Post-empire? The Concept of „Long Century” and the Consequences of Globalization*, w: *Emerging Meso-Areas in the Former Socialist Countries: Histories Revived or Improvised*, ed. Kimitaka Matsuzato, Sapporo 2005, s. 348.

wspólnoty u jej genezy: demokracja, wolność mediów, prawa człowieka. Tym bardziej nie są z tej perspektywy ważne przejawy czynnej, czasem otwarcie brutalnej, neoimperialnej polityki Moskwy – skoro jej ofiarą padają „kraje dalekie, o których mało wiemy”. Czy i my powinniśmy zacząć tak myśleć o Ukrainie, może jutro również o Litwie, Estonii, czy Łotwie? Czy wtedy znikniemy także z celownika tejże polityki?

Z naszego kraju można jednak patrzeć rozmaicie, jak już wspomniałem, na Europę Wschodnią i jej relacje z Europą *tout court*. Decydujące dla tych różnic jest spojrzenie na samą Polskę. Czy jej historia, tradycja, związana przez wieki z dziedzictwem Rzeczypospolitej, jest tylko przeżytkiem, obciążeniem, zawadą na drodze do „modernizacji i integracji”, czy też jest ona nam potrzebna do trwania samej Polski, do rozwinięcia jej oryginalnego wkładu w Europę?

Obecna formuła Unii Europejskiej zdaje się wspierać ten pierwszy wybór – ten, którego dokonuje obecny rząd. Czy jednak musimy uznać tę formułę za ostateczną? Czy nie mamy prawa walczyć o jej rozszerzenie, o jej zmianę – w interesie Europy jako całości. Ów interes mamy takie samo prawo odczytywać, jak gospodarze stolic „starej” Europy.

Warto dostrzec napięcie, jakie wprowadza obecna formuła Europy nie tylko na przykładzie Polski. Znakomicie przeanalizował je w innym, brytyjskim kontekście najwybitniejszy chyba żyjący historyk idei, J. G. A. Pocock. Zwrócił on uwagę na skutki, jakie włączenie do struktur europejskich, a raczej do ideologii, która wokół nich narosła, miało dla historycznej wspólnoty brytyjskiej, dla jej rozpadu. Nowa Zelandia (ojczysty kraj tego historyka), Australia, Kanada i inne elementy składowe tej wspólnoty funkcjonują jednak w innej sytuacji geopolitycznej aniżeli Ukraina, Białoruś, Litwa czy Łotwa. Swoista trauma rozpadu historycznej wspólnoty ma dla nich wymiar „jedynie” cywilizacyjny. Warto jednak ów wymiar docenić. Brytyjczycy mieli nagle zamieszkać wyłącznie europejską historię – ich historyczna wspólnota z krajami, które w pewnym sensie współtworzyli została gwałtownie przekreślona. Brytyjskie imperium tworzyło kulturę „o globalnej zdolności do tworzenia i stowarzyszania nowych narodów. Przystąpienie Zjednoczonego Królestwa do Wspólnoty Europejskiej pociągnęło za sobą odrzucenie przez narody tego Królestwa niegdysiejszej zdolności ich kultury; to było przyznanie klęski, a zarazem odrzucenie innych narodów owej kultury”.⁹

Czyż Rzeczpospolita – ze swym polskim rdzeniem – nie tworzyła takiej kultury o zdolności do współtworzenia i przyciągania nowych narodów, kultury o zasięgu regionalnym przynajmniej, między wiekiem XV i XIX? Nawet po rozbiorach silniej jeszcze aniżeli w poprzednim wieku duchowego upadku? I potem, w jakimś przynajmniej sensie, wracała do tej roli, w II RP, w roli polskiej opozycji antykomunistycznej w obozie – w „Przesłaniu do robotników Europy Wschodniej” przekazanym przez I Zjazd „Solidarności”, a w końcu właśnie w ożywieniu aktywnej, kulturalnej, nie tylko politycznej interakcji z obszarem dawnej Rzeczypospolitej w okresie „pomarańczowej rewolucji”?

Można uznać, że to już koniec. Że dłużej nie warto się łudzić. Ale oznacza to przekreślenie nie tylko owej specyficznej, polskiej kultury, jej zdolności do stowarzyszania nowych narodów, odrzucenie samych owych narodów, które historyczną wspólnotę z Polską tworzyły. Oznacza to także przekreślenie samej koncepcji Europy Wschodniej. Innej niż ta, która mieści się między rurami Nordstreamu i Southstreamu.

To zaś zmienia pojęcie Europy samej. A na pewno miejsce w niej Polski. Jeśli przyjmujemy ten wybór – zaakceptujemy miejsce na granicy: tej granicy Europy, której sami nie chcemy przesunąć dalej, ale którą gotów jest przesunąć Władimir Putin.

Jeśli odrzucimy ten wybór – możemy wciąż znaleźć partnerów do wspólnego działania w dążeniu do odnowienia Europy. Mogą nimi być nowe rządy na Węgrzech, w Czechach, na Słowacji, także w Rumunii. Może być nim Szwecja – zawsze zainteresowana swoim obszarem „postimperialnym” nad wschodnim Bałtykiem i zawsze gotowa nieco większą uwagę niż nasi partnerzy za Odrą czy znad Sekwany zwracać na sytuację wewnętrzną w Rosji (może dlatego Carl Bildt jest w Moskwie politykiem niemal tak samo wrogo postrzeganym jak do 10 kwietnia Lech Kaczyński?). Program Partnerstwa Wschodniego nie jest na pewno szczytem możliwości współpracy polsko-szwedzkiej na przestrzeni Europy Wschodniej.

⁹ J. G. A. Pocock, *The Discovery of Islands. Essays in British History*, Cambridge 2005, s. 271.

Nie powinniśmy także zapominać, że Janukowycz czy Łukaszenka to nie cała Ukraina i nie cała Białoruś. W tych krajach wciąż jest potencjał otwartości na Europę – potencjał, który aktywna, śmiała, konsekwentna polska polityka wschodnia może ożywić. Jest wreszcie jeszcze jeden wymiar tej polityki, w którą wpisana jest historyczna spuścizna Rzeczypospolitej, spuścizna tragicznie zmarłego prezydenta Kaczyńskiego także. Przypominanie o tym, że Europa jest, (była? bywała?), a w każdym razie może być wspólnotą wartości, nie musi wcale zamykać nas na Rosję. Owszem, odcina nas od Putina. To jednak nie jest jeszcze cała Rosja. Obecnie Rosja zdaje się wchodzić w nową fazę poszukiwania własnej tożsamości ideowej. Pewniejsza swojej suwerenności, pyta o jej sens, o jej nie tylko geopolityczny, ale także duchowy wektor.

Polska może wykorzystać pewną, nie wielką, ale realnie istniejącą szansę oddziaływania na Rosję: by zmieniała się ona w sposób pozwalający przewyciężyć jej dziedzictwo najgorszej zbrodni XX wieku: dziedzictwo sowieckiego komunizmu. Rosja była największą ofiarą tej zbrodni. Ale żyją w niej także zbrodniarze tego systemu i ich (nie tylko instytucjonalni) spadkobiercy. Nie tylko żyją.¹⁰ Rosja nie podjęła po 1991 roku rozrachunku z tym dziedzictwem, a w każdym razie próby takiego rozrachunku zostały stłumione. Przez tych, którzy w imię wielkości imperium, w imię restauracji jego mocy nad innymi, nad sąsiadami, nad słabszymi, potrafili usprawiedliwić, albo przynajmniej zrelatywizować ofiary, zredukować zapisany w chrześcijańskiej kulturze odruch moralnego współczucia. Tragedia smoleńska z 10 kwietnia ten odruch w narodzie rosyjskim ożywiła. Miliony Rosjan po 10 kwietnia dowiedziało się prawdy o zbrodni katyńskiej, przekonało się, że nie można takich zbrodni usprawiedliwiać – niczym. Niektórzy, najuczciwsi przedstawiciele tego narodu, od dawna walczyli swoimi pracami historycznymi (jak ludzie z „Memoriału”), albo całą swoją postawą życiową (jak Władimir Bukowski czy Natalia Gorbaniewska) o tę prawdę. Teraz, po 10 kwietnia, zaczęli do niej nawiązywać nawet niektórzy przedstawiciele „oficjalnej” Rosji. Siergiej Karaganow, przewodniczący kremlowskiej Rady Spraw Zagranicznych i Bezpieczeństwa, oświadczył, że skoro Rosja „uznała już ostatecznie i bezwarunkowo zbrodnię katyńską”, powinna uznać także, że sama jest jednym wielkim Katyniem i że Stalin oraz jego pomocnicy (i kontynuatorzy) nigdy już nie powinni być w Rosji czczeni. Uczczone powinny zostać ich ofiary.¹¹

Jakże naiwne wydawało się dążenie do prawdy o Katyniu w latach sowieckiej dominacji nad Polską. Jak kpili z tego polityczni „realiści”: „Jak zmusić silniejszego, żeby przyznał się do kłamstwa, skoro mu się nie chce? I po co? Można by napisać całą rozprawę na temat okazji, kiedy ten moralistyczny pęd do prawdy historycznej utrudniał lub wręcz uniemożliwiał Polakom polityczne kontakty z Rosjanami. Szkodliwość podejmowania tragicznej sprawy Katynia dla polskiej polityki – jakże mnie korci, by o tym napisać. [...] Przecież to komiczne, przecież nie można żądać od wielkiego narodu, by zachowywał się jak dziecko, od którego w celach pedagogicznych domagamy się przyznania do winy”.¹² Marcin Król napisał te słowa w 1986 roku. Dwa lata później władza sowiecka zaczęła się zastanawiać nad możliwością ujawnienia prawdy o Katyniu. Trzy lata później ogłosiła ją, choć w części. Pięć lat później – upadła. Przynajmniej w pewnej swojej formie.

Historia się nie skończyła. Unia Europejska w obecnym swym kształcie nie stanowi jej ostatecznego horyzontu. Trzeba mieć odwagę spojrzeć dalej. Z tego punktu widzenia, który przekazała nam historia.

¹⁰ Elity polityczne współczesnej Rosji są zdominowane przez ludzi wywodzących się ze „służb” – dawnej KGB i GRU. Według najstaranniejszych badań życiorysów członków Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, rządu, rosyjskiego parlamentu oraz władz regionalnych, przeprowadzonych przez prof. Olgę Krysztanowską z Instytutu Socjologii Rosyjskiej Akademii Nauk oraz prof. Stephena White’a z Glasgow University 70 procent spośród nich wywodzi się z dawnych sowieckich „służb” lub ich bezpośredniej kontynuacji: zob. O. Krysztanovska, S. White, *The Sovietization of Russian Politics*, „Post-Soviet Affairs”, Vol. 25, No. 4 (October-December 2009)..

¹¹ Сергей Караганов, *Русская Катень*, "Российская газета" - Федеральный выпуск №5239 (160) от 22 июля 2010 г.

¹² Marcin Król, *Podróż romantyczna*, Paryż 1986, s. 52.